

Naked Root: Moc z nimi

„The Maze” (premiera 24 kwietnia) jest drugą płytą w dorobku Naked Root. Znalazło się na niej dziesięć anglojęzycznych utworów i – jako bonusy – trzy wersje z polskimi tekstami. Zasadniczą część zamyka cover – piosenka z czołówki „Bonda” („Casino Royale”), „You Know My Name”, błyskotliwie zaśpiewana przez nieodżałowanego Chrisa Cornella. To dość ryzykowna decyzja, bo nieuchronnie prowokuje do porównań. Z jednej strony można się pochwalić: „proszę, my też tak potrafimy”, a dotrzymać kroku takiemu gigantowi jak Cornell, to nie byle co. Muszę przyznać, że Jola (takiej formy imienia używa w książeczce dołączonej do płyty) daje radę. Z drugiej – wybór utworu i stylistyki określa inspiracje i punkty odniesienia dla własnej twórczości. I tu już nie jest tak dobrze – widać przepaść, jeśli chodzi o kompozytorski kunszt i poziom interpretacji. Słowem, umieszczając „You Know My Name” w sąsiedztwie własnych kompozycji, zespół pokazuje, jak daleko mu do najlepszych.

Od czasu debiutanckiego albumu „Naked Root” z 2016 roku twórczość zespołu ewoluowała. Choć nagrania zrealizowano w tym samym studiu Manximum Records w obu wypadkach przez Pawła Marciniaka, brzmienie stało się cięższe, bardziej tłuste. Wcześniej zespół wykonywał hardrockowe piosenki, teraz charakter kompozycji stał się bliższy estetyce metalu, wzbogaconej o elementy rocka progresywnego. Mocno osadzone bębny (Grzegorz Szelewa) z głębokim basem (Tomek Hubicki) tworzą szkielet rytmiczny, a gęste riffy gitary (Tomek Krawczyk) z charakterystycznym „piejącym” zaśpiewem szczelnie wypełniają przestrzeń, budując wrażenie ściany dźwięku. Klawisze (Arek Wieczorkowski), dość tradycyjne, na ogół stanowią wzbogacający elektroniczny ornament, czasem pojawiają się w formie klasycznego pianina. Zmienił się charakter wokalu. Jola Górka śpiewa ostrzej, bardziej agresywnie, więcej wyciskając z gardła.

Kapela gra równo i do przodu. Nie ma aranżacyjnego wydziwiania, prób budowania kontrapunktowych struktur, rytmicznych eksperymentów, łamania fraz, poszukiwania harmonicznym smaczków. Tu muzycy Naked Root nas nie zaskoczą – to nie ich żywioł. Między częściami utworu (zwrotka, refren, bridge) czasem pojawia się przerywnik: gitara grająca rozłożone akordy lub kilkudźwiękowy motyw (jak w nieco balladowym „Thorn” i tytułowym „The Maze”), w podobnej roli słychać też klawisze. To raczej partie mało wyraziste, takie muzyczne puste przebiegi. Wstęp do „Howling Moon” wydaje się dość oryginalny dzięki nietypowej partii gitary nawet w połączeniu z konwencjonalnie grającymi klawiszami. Ładny jest też w tym utworze podkład pod solo – rodzaj chóru z pianem elektrycznym. Na to fajnie „leją się” melodyjne dźwięki gitary (szkoda, że zagłuszone w końcówce). Repertuar aranżacyjnych zabiegów nie jest specjalnie rozbudowany, dlatego poszczególne utwory nie różnią się znacząco między sobą. Pozytywnie wybijają się ballada „Stardust” zaczynająca się pianem i przestrzenią wydobywającą na pierwszy plan głos wokalistki, ale i tu brakuje finezji, liryczny przekaz wydaje się zbyt nachalnie „wytaktowany”. Smaczki gitarowe, w końcówce schowane na trzecim planie, przykryte zostały monotonnymi akordami syntezatora.

Nie rozumiem, skąd pomysł, żeby zrezygnować z solówek gitary. Wygląda, jakby w zespole rządził klawiszowiec i nie pozwalał zabłysnąć gitarzyście. Wirtuozowskie partie instrumentalne są solą takiej muzyki. W sytuacji gdy aranżom Naked Root brakuje iskry, dobre solo napędza utwór, a Tomek Krawczyk udowadnia, że potrafi dać czadu. Szkoda, że na pierwsze króciutkie solo musimy czekać do piątego kawałka („Numb Affection”), a trochę więcej miejsca (osiem taktów) dostał dopiero w ósmym utworze (bardzo „purplowskim” z ducha i w aranżu „Folk Wisdom”).

Największą wartością tej płyty jest wokal. Tu tkwi zasadniczy potencjał projektu, ale jednocześnie nie dość dobrze niewykorzystany. Szansę rozwoju widzę w pracy nad liniami melodycznymi na

etapie kompozycji oraz w bardziej świadomej interpretacji, tworzeniu zróżnicowanego, przekonującego emocjonalnie przekazu. Mam wrażenie, że melodie wymyślane są do już gotowych w wersji instrumentalnej utworów. W efekcie najczęściej opierają się na kilku dźwiękach podstawowych dla akordów podkładu, które narzucają się w pierwszej chwili. Powstaje więc banalna melodyjka powtarzana w każdym wersie, a dramaturgia ogranicza się do końcówki wersu – raz zmiana w górę, raz w dół. Rzadko pojawia się fraza budowana na przestrzeni kilku wersów. Przecież melodia to dźwiękowa opowieść – ona musi być ciekawa, musi nas zaskakiwać i trafiać w nasze czułe struny. To niełatwe, trzeba mieć do tego dar. I oczywiście sedno sprawy nie tkwi w liczbie dźwięków. Może mógłby tu pomóc utalentowany producent, taki jak Michał Grymuza czy Paweł Cieślak. Z drugiej strony skłamałbym, twierdząc, że nie został mi w głowie jeden czy drugi refren, fragment zwrotki („Thorn”, „Stardust”).

Jola musi popracować nad wykonaniem – przede wszystkim różnicowaniem wyrazu. Wokalistka, śpiewając, opowiada historię, którą mamy się przejąć. Nie osiągnie celu, przeciągając sylaby niemal tak samo w każdym utworze, w podobny sposób „skandując” tekst, bo popada w monotonię. Budowanie ekspresji na krzyku, wchodzeniu w wysokie rejestry, „zdzieraniu” gardła to za mało. Potrzeba interpretacji, przeżywania tego, co się śpiewa, autentyczności. Nie wiem, czy Jola posiadała język angielski, ale tekst w jej wykonaniu bywa nieczytelny. To dodatkowo utrudnia kontakt z odbiorcą. Trzy bonusowe utwory w polskiej wersji udowadniają, że taki przekaz jest lepszy. Wokalistka brzmi wyraźniej, sens i emocje zawarte w słowach (nawet jeśli nie jest to twórczość najwyższych lotów) łatwiej do nas trafiają. Teksty angielskie (napisane w większości przez Michała Bartczaka) już same w sobie stanowią pewne wyzwanie także dla tych, którzy posługują się językiem angielskim. Materiały promocyjne zapewniają, że album opowiada „o młodej kobiecie, o jej związkach, o zmaganiach z koszmarnymi wspomnieniami z dzieciństwa, bezsennością, z ograniczeniami wynikającymi z wychowania i otoczenia, w którym dorastała, z fałszywymi ludźmi. Bohaterka czasem ucieka w świat marzeń, ale wreszcie znajduje swoją drogę i miejsce w życiu, zostawiając za sobą złe doświadczenia”. Mimo starań ta opowieść pozostała poza mną.

Produkcyjnie album nie należy do wyrafinowanych. Udało się wykreować soczyste brzmienie. Wokal dostał odpowiednią przestrzeń. Przejrzystość poszczególnych planów czasami mogła być lepsza. Chciałoby się lepiej słyszeć dodatkową gitarę, bo to tam (w solówkach, ozdobnikach, przejściach) najwięcej się dzieje. Bywa że fragment utworu zostaje puszczone przez filtr wycinający część częstotliwości, co zmienia brzmienie. Nie zawsze daje to ciekawy efekt.

Po wielokrotnym wysłuchaniu płyty „The Maze” mam wrażenie, że komponowanie „piosenek” z prawdziwego zdarzenia nie jest mocną stroną zespołu. Utwory są dosyć podobne do siebie, a przede wszystkim brakuje w nich melodii, które przyciągałyby uwagę i zostawały w pamięci. Przecież to właśnie melodia i genialny riff przechodzą do historii, to jest esencja muzyki, do której odwołuje się Naked Root. Przecież przeboje legend hard rocka: Deep Purple, Black Sabbath, AC/DC i młodszych klasyków metalu – Metalliki – na tym polegały. Nic, tylko uczyć się od najlepszych.

Bogdan Sobieszek